

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: Audycje kulturalne – w dobrym tonie.

ANNA KARNA: Dzień dobry, przy mikrofonie Anna Karna. Zapraszam na „Audycje Kulturalne”. Dziś w cyklu „Mistrzowie mówią” mistrzyni aktorstwa, wybitna aktorka teatralna, filmowa, telewizyjna i radiowa, uwielbiana przez publiczność, pani Marta Lipińska. Dzień dobry.

MARTA LIPIŃSKA: Dzień dobry, witam serdecznie.

ANNA KARNA: Dodajmy, że dziś nie jesteśmy w studio Narodowego Centrum Kultury, a w garderobie Teatru Współczesnego, czyli właściwie drugiego domu Marty Lipińskiej?

MARTA LIPIŃSKA: Tak, tak rzeczywiście jest, zwłaszcza, że jestem w tym domu od sześćdziesięciu lat i niezmiennie wierna.

ANNA KARNA: Spotykamy się w niezwykłym momencie, bo w zeszłym roku świętowała pani jubileusz pracy artystycznej, który właśnie wiąże się z angażem w Teatrze Współczesnym, zaś w tym roku, niemal przed chwilą, kolejny jubileusz, sześćdziesięciolecie debiutu teatralnego – był to spektakl „Trzy siostry” Czechowa, w reżyserii Erwina Aksera. O tym szczególnym momencie za chwilę porozmawiamy, ale ponieważ jubileusz skłania do wspomnień, to w jaki sposób w pani życiu pojawił się teatr?

MARTA LIPIŃSKA: Tak dosyć nietypowo, dlatego że jak słucham czasem opowieści kolegów, to zwierają się, że właściwie od dziecka marzyli o tym zawodzie, że przygotowywali się do niego i że to była jedyna droga ich życiowa, w wyborze ich. Natomiast ja muszę powiedzieć, że będąc bardzo nieśmiałą młodą osobą, dziewczynką taką z liceum żeńskiego imienia Królowej Jadwigi w Warszawie, nie przychodziło mi do głowy, że mogę być aktorką. Nie popisywałam się na akademiach recytacją, wszystko to zamykało się raczej w moim wielkim umiłowaniu i zainteresowaniu teatrem, że właściwie największą przyjemnością było jak już klasa moja licealna szła do teatru albo jak sobie mogłam łączyć pieniądze na jakąś wejściówkę do teatru, żeby indywidualnie z tej przyjemności korzystać. Przeżywałam to ogromnie. Po prostu uwielbiałam to, ale nie wiedziałam siebie w roli aktorki. Raczej na moją niezbyt mądrą wyobraźnię tamtych lat myślałam o reżyserii. Ha, no teraz bym nieśmiała pomyśleć o reżyserii, bo uważam, że to trzeba mieć wyjątkowe predyspozycje do uprawiania tego zawodu, ale wtedy, jako osoba młoda i taka niezbyt rozumiejąca jeszcze życie, myślałam, że może będę reżyserem, bo potrafiłam przyjść do domu i opowiadać babci i mamie całe przedstawienie, prawie odgrywając wszystkie role. To było zabawne właśnie, że ja wszystko widziałam, każdy szczegół, potrafiłam też naśladować, czy nawet małpować różnych aktorów grających w tych spektaklach. Ja nawet zdawałam do szkoły teatralnej na początku myśląc, że mogę zdawać na wydział reżyserski. No, ale profesor Bardini mnie na jakimś korytarzu przyuważył i mówi: „Dziecko, gdzie ty na reżyserię? Przecież ty musiałabyś mieć jakieś studia skończone, żeby tutaj zdawać na ten wydział. Zdawaj na aktorski”. No, mało byłam przygotowana, coś tam umiałam na pamięć z sympatii prostej czy do poezji, czy do sztuk teatralnych, ale nie to, że

byłam wyuczona przez jakiegoś starszego kolegę, aktora, przygotowana, nic z tych rzeczy. No, ale jednak Bóg łaskawy dostałam się od pierwszego wejrzenia, haha.

ANNA KARNA: Czy to prawda, że to aktorstwo przewidziała pani ciotka, Zofia Wattenowa-Mrozowska, wielka miłość i muza Witkacego?

MARTA LIPIŃSKA: Tak teraz to opowiadamy, ja nie wiem, czy była wielką miłością. W każdym razie w jej wspomnieniach zajmował poczytne miejsce i zostawił bardzo wiele jednak wspaniałych portretów mojej ciotki, a ona, jeśli idzie o mnie, z takiej miłości rodzinnej pewnie, przepowiadała mi taką przyszłość aktorską, bo jakoś widziała we mnie takie możliwości. Bo byłam dosyć zabawną dziewczynką. Pamiętam, koleżanki prosiły mnie, „Marta, Marta, opowiedz nam coś, opowiedz nam jakąś książkę, albo jakiś film”, więc ja wtedy stawałam pośrodku klasy i coś tam opowiadałam. Bardzo często zmyślałam, bardzo często konfabulowałam, ale pamiętam, że zasłuchane moje koleżanki były bardzo i bardzo mnie lubiły za to, że tak właśnie jakieś wytworne mercedesy były w moich opowieściach, wspaniałe stroje, wspaniałe miłości, i nawet czasem kryminały. Więc zmyślałam naprawdę na potęgę. Ja muszę powiedzieć, że mi się ta wyobraźnia taka rozbudowana przydaje dosyć w moim zawodzie. Ja po prostu czytając pierwszy raz sztukę bardzo dużo sobie wyobrażam, bardzo dużo mi się dzieje w głowie i nie tylko w głowie, bo to po prostu często się łączy z tym, że nawet zaczynam inaczej chodzić, inaczej przyjmuję wszystko dookoła.

ANNA KARNA: Jeszcze będąc w szkole teatralnej jako studentka została pani zaproszona właśnie do Teatru Współczesnego, który już wtedy był wielkim teatrem. Szybko spełniły się aktorskie marzenia?

MARTA LIPIŃSKA: Tak, o oczywiście zawsze działa przypadek też. Grałam w takiej sztuce, jako drugi czy trzeci dyplom, Aleksego Tołstoja, nazywało się to „Ślicznotka”, i grałam tam bardzo podobno udanie rolę Raisy. Profesorowie, którzy oglądali nasze występy, powiedzieli Akserowi, który poszukiwał młodziutkiej aktorki do Iriny w „Trzech siostrach”, on zaczynał próby w teatrze, powiedzieli, „To idź, zobacz taką sztukę, sam zobaczysz, że jest aktorka, która by mogła to grać”. No i tak się stało. Zobaczył mnie w tej Raisie, zostałam poproszona na rozmowę do Erwina Aksera. Bardzo byłam tym podniecona i poruszona, Boże, jakież to wszystko robiło na mnie niebywałe wrażenie. Ale pan Erwin Akser był niebywałym człowiekiem, wspaniałym światowcem. Potraktował mnie prawie jak własną córkę, no i od razu mi zaproponował angaż. To było bardzo szczególne przeżycie dla mnie i zapamiętałam to do końca życia. Dostałam też od niego centa na szczęście, haha.

ANNA KARNA: Przyszedł debiut wspaniały, Irina, jedna z „Trzech sióstr” Czechowa. Chyba wielki przełom w pani życiu?

MARTA LIPIŃSKA: Tak, tak. Z perspektywy tylu lat widzę, że to było coś niebywałego. Że to był debiut niebywały, że to był wielki sukces też teatru, jeśli chodzi o spektakl cały. Ale ten mój debiut, szczególnie też jakoś uznany wtedy, ja teraz to widzę, że to, ach, powinnam się właściwie zachłysnąć i w ogóle unosić nad ziemią wtedy, a ja wtedy byłam na tyle młoda i nie miałam pełnej świadomości tego, po prostu strasznie normalnie to traktowałam. Jest spektakl, jest rola, jest debiut, we wspaniałym gronie kolegów, i my to gramy, gramy to ponad dwieście

razy, i to jest cudowne wszystko razem. Ale nie wiem, czy nadzwyczajne. Wtedy tak uważałam. Teraz widzę, że to nie było takie całkiem normalne, tylko to było coś ponad przeciętność, ponad normę, ponad stan prawie. Tak się zaczęło wspaniale i zaczęło mi proponować właśnie rzeczy dosyć podobne do tej Iriny. Ja takie amantki grałam aż do tego stopnia, że właściwie większość ich to były amantki z repertuaru rosyjskiego i nawet radzieckiego. Zresztą wspaniałe role. Muszę powiedzieć, że jestem osobą o rogatej duszy i jak mnie zaczęto w tej szufladce widzieć tylko, tej amantki, to troszkę się zbuntowałam. Zaczęłam szukać w podejściu do ról charakterystyczności. I chwała Bogu, bo ja do tej pory dziękuję sobie i Bogu za to, że ja tak zachowałam się i tak postąpiłam, bo miałam bardzo dużo roboty przez to. Bo młodość, ta pierwsza, najbardziej naiwna, dosyć szybko przemija, kończy się, i trzeba potem coś szukać, czegoś nowego. Ja bardzo szybko zaczęłam tego szukać i bardzo jestem szczęśliwa z tego powodu, bo to zresztą jest dosyć trudna rzecz dla aktorki, żeby jednak umieć się przestawić. Amantki sentymentalne, wrażliwe, jest łatwiej, a jednak dobrze rolę komediową, a czasem nawet aż farsową, bardzo jest trudno, i trzeba ją bardzo prawdopodobnie zrobić i zagrać. Jest trudniej.

ANNA KARNA: Takim chyba przełamaniem właśnie tej postaci, tego wizerunku, była pani Maliczewska z sześćdziesiątego dziewiątego roku. To wtedy też pani pokazała zupełnie inną bohaterkę niż wcześniej była grana.

MARTA LIPIŃSKA: Tak. No, jakoś tak sobie wymyśliłam i się bardzo chętnie na to zgodził reżyser, pan Słotwiński, żebym nietypowo potraktowała swoją bohaterkę, pannę Maliczewską, żeby ją zagrać jako osobę dobijającą się do tego za wszelką cenę, żeby być aktorką, a może nie mającą zbyt wielu predyspozycji do tego. I tak dosyć ostro to grałam, ale jednak bardzo prawdopodobnie. To znaczy, była to żywa postać, a nie na siłę jakaś idea przeprowadzona. Muszę powiedzieć, że nie wszystkim się to podobało moim wielbicielom i wielbicielkom, nawet jakieś parę listów dostałam takich, że bardzo proszę, żebym grała jednak inne role, że bardziej mnie kochają w tamtych.

ANNA KARNA: Wśród spektakli kamieni milowych wymienia pani „Godziny miłości” ze Zbigniewem Zapasiewiczem, choć tam też pani grała właśnie amantkę.

MARTA LIPIŃSKA: No tak, tam grałam typową amantkę. To było dosyć wcześnie. No, to była znakomita sztuka przez pana Radzińskiego napisana, to współczesny pisarz radziecki właściwie, i myśmy to z niebywałym jakimś takim wyczuciem zrobili. To się tak podobało, że chyba najwięcej powtórzeń to przeżyłam w swoim życiu właśnie tych „Godzin miłości”. I Zbyszek też bardzo lubił tę sztukę. Graliśmy to po prostu też jak na skrzydłach. Reżyserował to Ciciszwili, to był taki reżyser Gruzin, a my przewyciężyliśmy pewien stereotyp grania rosyjskiego właśnie wtedy. Ja pamiętam, że awanturom nie było końca, ponieważ on był przyzwyczajony do tego, że tam aktorzy grają, jak ja mówiłam wtedy, od ściany do ściany, a myśmy jednak byli troszkę dalej już, jeśli idzie o pokazywanie uczuć, a zwłaszcza przed kamerą, kiedy ta kamera może być blisko twarzy i pokazywać najmniejsze niuanse. I to się sprawdziło bardzo. Sama lubiłam bardzo tę moją rolę, dlatego że, no dotykała takich ważnych rzeczy, bo nie tylko uczuć między młodymi ludźmi, ale różnych spraw, i światopoglądowych, i filozoficznych, i w ogóle, no naprawdę bardzo on to umiejętnie zrobił.

ANNA KARNA: W złotej setce najważniejszych teatrów w telewizji znalazł się spektakl „Bracia Karamazow”, gdzie partneruje pani Andrzej Nardelli, ulubiony aktor Adama Hanuszkiewicza. Jak wspomina pani rolę Gruszeński?

MARTA LIPIŃSKA: Och, cóż to za rola wspaniała. Jakaż to wspaniała postać, też tak wielobarwna, krwista taka. Pozwoliło mi to nowy rys pokazać w swoim repertuarze w moim charakterze, ponieważ grałam bardzo namiętną osobę, bardzo taką gdzieś tam dosyć odległą ode mnie, a jednak odważyłam się i grałam ostro, i jakoś się to wszystko udało. Bo najważniejsze sceny, poza tym, że grałam właśnie z Aloszą, czyli z Nardellim, Andrzejkiem biednym, którego bardzo szybko zabrakło, grałam jednak z Inkiem Gogolewskim, który grał Michała, toś my grali, to rzeczywiście na sto cztery fajerki, jak to się mówi. Po prostu to było niesłychane, ponieważ, no, walka o kobietę z ojcem – to jest... to tylko Dostojewski może wymyślić coś takiego, haha. Tak, wspaniałe to było.

ANNA KARNA: W pani życiu tak się wydarzyło, że właściwie i teatr i film szły razem, a właściwie film pojawił się wcześniej, jeszcze przed teatrem.

MARTA LIPIŃSKA: Tak, to nie były bardzo duże role, chociaż jakieś takie zauważalne, bo i w „Głos z tamtego świata”, o takim facecie, który udawał uzdrowiciela, ja grałam dziewczynkę oszukiwaną, właśnie taką, która wierzyła bardzo, że jakieś kuleczki ją ulecą. To bardzo też było zauważone i przyniosło mi też jakby propozycje następne. Z tym, że oczywiście jedne lepsze, drugie gorsze. I ja mam w sobie jakiś taki trochę niedosyt moich ról filmowych, że może nie wykorzystano jednak do końca moich możliwości, ani moich chęci, mojego zapału do grania w filmie. Bardzo chętnie bym zagrała, nawet jeszcze teraz, jakąś taką rolę ważną.

ANNA KARNA: Ma pani jakąś taką postać, o której myśli, albo przynajmniej charakter?

MARTA LIPIŃSKA: Nie, no już teraz naprawdę mogę tylko myśleć o zagranii jakiejs babci, haha, nie mówiąc o prababci. Ale nie wiem, może jakąś osobę z jakimś rysem charakteru albo z jakimś zadaniem do wykonania. Nie wiem, przecież są w polityce kobiety ważne bardzo i nie najmłodsze. No, ja mam pełną świadomość tego, że mam tyle lat, ile mam, i już bardzo wiele rzeczy i umknęło, tak przeleciało koło nosa, i nie mam co już marzyć o pewnych rolach, ale może coś jeszcze by się znalazło, tak jak nagle moja wspaniała Esmeralda w teatrze. Niektórzy myślą, że jest w ogóle napisana dla mnie, haha, co jest nieprawdą, ale jednak autorka przyjeżdża w kwietniu, będzie nas oglądać i przysłała mi na to dwieście pięćdziesiąte przedstawienia, Cat Delaney, bukiet kwiatów z liścikiem, że „See you in April. Love, Cat”. No więc po prostu bardzo się cieszę, że jakoś wpadła nam w ręce ta sztuka i że ją gramy tyle razy i z takim powodzeniem.

ANNA KARNA: Tu słowo wyjaśnienia. Mówimy o sztuce „Lepiej już było”, gdzie gra pani postać Esmeraldy. I ja nieraz już słyszałam i widziałam na własne oczy, sala wypełniona po brzegi, a publiczność nie chce pani wypuścić.

MARTA LIPIŃSKA: Haha. Tak, jest to rzeczywiście przedstawienie z wielkim sukcesem grane. No mówię, za parę dni znowu to gram i wyprzedane są bilety, i... śmiesznie, bo przekrój

publiczności, która przychodzi na to, jest bardzo, bardzo bogaty i różny, bo jest i młodzież, i osoby dojrzałe, i starsze, więc sala jest bardzo różnorodna i to bardzo cieszy, że tak właśnie jest. I to jest takie dla ludzi bardzo, bo to jest i śmieszne, i do zadumy, bo to jest jednak troszkę opowieść o losie starej aktorki, która na marniutkiej emeryturze, no, ledwo wiąże koniec z końcem.

ANNA KARNA: I pojawia się tam wątek kryminalny.

MARTA LIPIŃSKA: O, tak, bo babcia rabuś po prostu, okazuje się, że jest na tyle jeszcze sprawna i odważna, że napada na banki, haha.

ANNA KARNA: Za co lubi pani Esmeraldę?

MARTA LIPIŃSKA: Za poczucie humoru, za autoironię, za odwagę. Bardzo dużo cech ma takich, które bardzo mi się podobają i bardzo bym chciała mieć bardzo podobne. Co tu dużo skrywać.

ANNA KARNA: Porozmawiajmy jednak o tych rolach filmowych, bo przecież zagrała pani w jednym z najważniejszych polskich dzieł filmowych, myślę o serialu „Lalka” z siedemdziesiątego siódmego roku, w roli Heleny Stawskiej. To było wtedy ogromne przedsięwzięcie.

MARTA LIPIŃSKA: Zwłaszcza, że było wspaniale przygotowane przez Ryszarda Bera, reżysera, bo przecież to już było po tym, jak Hass zrobił film z tego fabularny, z „Lalki”. To, co zrobił Ryszard Ber, przygotował się do zrobienia serialu w odcinkach z pełnym pietyzmem w najdrobniejszych szczegółach, w wspaniałej obsadzie, z wielkim poszanowaniem tej genialnej książki i tej literatury wspaniałej. To było wobec tego coś innego. Przecież moje postaci w ogóle u Hassa nie było, pani Stawskiej. A tu była, jak się okazało, była dosyć ważna, haha. Więc rzeczywiście, grałam to z wielkim, że tak powiem, zapałem, łącząc przedstawienia teatralne z grą tam w Łodzi w kolejnych odcinkach. To był duży wysiłek, bo czasem od drugiej, wsiadałam w samochód i jechałam na spektakl, i po nim znowu jechałam do Warszawy. Ale to się opłaciło, bo naprawdę uwielbiałam to grać, uwielbiałam to, że grałam to z Broniem Pawlikiem, który grał genialnie Rzeckiego, z Jurkiem Kamasem, który grał świetnie Wokulskiego, z Jankiem Englertem bardzo nam się dobrze grało. To rzeczywiście była wielka przygoda i taka do zapamiętania, naprawdę.

ANNA KARNA: Ale kolejna, też wielka rola, „Nad Niemnem”, i chyba fantastyczna postać.

MARTA LIPIŃSKA: Tak, ja znowu sobie ją zobaczyłam, myślę, że troszkę nietypowo, bo jednak może inne aktorki by jakoś broniły jej egzaltacji takiej, miłości do poezji, niepatrzenia na życie toczące się obok, a ja całej rozciągłości ją pokazywałam. To znaczy, chciałam, żeby właśnie te wszystkie jej globusy, te bóle głowy, te migreny, ją określały bardzo, to wszystko, co ona sobą reprezentowała, że właściwie polegiwała cały czas na kanapce, rozmyślała, tęskniła, pachniała, ale nie bardzo zajmowała się życiem, a mąż zasuwiał, jak to się mówi teraz, haha. Dla mnie świetna literatura, muszę powiedzieć. Ja, jako dziewczyna, jako panienka, zaczytywałam się w tej Orzeszkowej, natomiast namówić mojego syna, haha, do tego, żeby on to przeczytał, a

miał to jako lekturę, to była sztuka. I mówił, „Mama, jak to dobrze, że ty zrobiłaś ten serial, bo nie muszę czytać, mogę sobie obejrzeć”, haha. Ja mówię, „Synku, co ty mówisz do matki?” No taka prawda była, haha.

ANNA KARNA: Wielu się ratowało w ten sposób, pani Marto.

MARTA LIPIŃSKA: Tak, tak, tak, haha. No, co zrobić.

ANNA KARNA: Wśród najważniejszych reżyserów pani drogi artystycznej wskazuje pani Tadeusza Konwickiego, u którego zagrała pani dwukrotnie. Bardzo szybko ten wielki reżyser pojawił się w pani życiu.

MARTA LIPIŃSKA: Rzeczywiście to było wielkie wydarzenie w moim życiu, bo po pierwsze u Tadeusza Konwickiego, którego książki uwielbiałam i czytałam, a po drugie jednak ze Zbyszkiem Cybulskim granie to było, no, wielką przygodą, czasem śmieszną, czasem trudną, ale w ogóle wspaniałą, bo to był nietypowy aktor, nietuzinkowy, wspaniały, i ten film, coś tak nadzwyczajnego wyniknęło z tego, co Tadeusz sobie wymyślił, że to jest, tak jak młodzież teraz mówi o tym, że to jest kultowy film. Opowiadał mi syn, w szkole filmowej sobie zamawia jakieś filmy w bibliotece szkoły filmowej do oglądania na weekend, żeby im zostawili, to zawsze to „Salto” jest na pierwszym miejscu. Ile razy można oglądać „Salto”, ja się pytam, a on mówi, „Mama, można w nieskończoność, to jest wspaniały film”. Pod każdym względem. I zdjęcia Kurta Webera i ta muzyka cudowna Kilara. Po prostu wspaniały. Obsada genialna. Każdy nietypowo zagrał. I Gustaw Holoubek, i Andrzej Łapicki, takiego nagle zagrał takiego łapserdaka, pijaka. Coś cudownego, co to było. Poza tym inaczej się te filmy wtedy kręciło. To się miesiącami tam nagrywało. Jak już graliśmy niektóre sceny aż pod koniec listopada, a zaczęliśmy w upale w lecie, to potem musieliśmy jabłka przywiązywać do gałązek, bo one wszystkie już opadły i trzeba było jednak, żeby była kontynuacja i żeby się montowało. Więc to była rzeczywiście nadzwyczajna przygoda, i też zaczęła się wtedy moja przyjaźń wielka z Tadeuszem. Ja go uwielbiałam po prostu jako autora, jako twórcę, bo te inne filmy, które on robił, też oglądałam zawsze z zapałem i uwielbiałam je, i czekałam na wszystkie jego książki, na jego powieści, na jego wywiady – rzeki. Nagle widziałam, co on myśli, bo on nie był gadułą. Mimo że lubiliśmy się bardzo i bardzo lubił, jak ja przybiegałam, ja zawsze gdzieś tam znajdowałam, mimo dwójki dzieci małych, czas, żeby tam dopaść na kawkę i spotkać się z nim i porozmawiać troszkę, a on też uwielbiał spotkania ze mną, mówił, „Boże, tchnij trochę życia w ten nasz stół, opowiedz coś o tych dzieciach”. Ja zawsze coś tam śmiesznego miałam do opowiedzenia, i potem jakby to zaowocowało też tym, że ja tą matkę grałam w „Dolinie Issy”, z takim dzieckiem małym, cudownym. Więc to było bardzo sympatycznie to jak to wypadło na tym ekranie też, z całą serdecznością można to oglądać teraz właśnie jak gram mamę.

ANNA KARNA: Jest pani, i nie ma w tym cienia przesady, kochaną przez publiczność aktorką, i na pewno tę wielką miłość przyniosło słuchowisko „Kocham pana, panie Sułku”. To było trzydzieści lat...

MARTA LIPIŃSKA: To rzeczywiście udało nam się niebywale i ten Jacek Janczarski, który po pierwszych już jakby opowiadkach zrozumiał, że to jest taka para, ja z Krzysiem Kowalewskim, że może dla nas pisać w nieskończoność, i że złapał taką konwencję tych spotkań i tych naszych

dialogów, że to może być hit. I był hit. I dla nas była wielka przyjemność, bo myśmy czekali co tydzień, co on przyniesie, jaką rzecz nam opowie, i my to graliśmy przy wielkim aplauzie słuchaczy, którzy co niedzielę czekali na to, co się będzie działo właśnie u państwa Sułków.

ANNA KARNA: I przez te trzydzieści lat pani Eliza wciąż bez wzajemności kocha się w panu Sułku, a pan Sułek wciąż jest wiecznym uczniem szkoły podstawowej. Czas stanął w miejscu.

MARTA LIPIŃSKA: Tak, to jest powtarzane w „Powtórkach z rozrywki” i jednak słuchacze słuchają tego dalej, i myślą czasem niektórzy młodzi, że to w ogóle jest nagrywane teraz, bo to się w ogóle nie zestarzało. To są ponadczasowe opowiadki, takie troszkę surrealistyczne, troszkę nierealne, aktualne jednak, prawda, a jednak w ogóle niepolityczne, a jednak troszkę polityczne, krytyczne – no, wszystko w tym jest, ja się nie dziwię, że ludzie tak to kochali. Kochali i taksówkarze i profesorowie medycyny. To tak było jednak, że rozrzut tej inteligencji, która tego słuchała, był niebywały. Od takich bardzo prostych ludzi, od młodzieży też, do starszych ludzi.

ANNA KARNA: Czy łatwo się gra, kiedy partneruje przyjaciel?

MARTA LIPIŃSKA: Pewnie, że tak. My się rozumiemy w pół słowa. Uwielbialiśmy w teatrze też ze sobą grać. Wymyślaliśmy sobie, nie wstydziliśmy się siebie. Bo coś jest w tym zawodzie takiego, że czasem się wstydzimy, czasem myślę sobie, „E, nie będę się wygłupiać, nie będę tego tak robić, może coś spokojniej zaproponuję”, a przy przyjacielu to się wszystko proponuje, co tylko przychodzi do głowy, a potem się wybiera. I wiem, że jak ktoś jest życzliwy i fajny, to wybierze to, co trzeba.

ANNA KARNA: Wśród ról, o których pani mówi, że naprawdę lubiła tę postać, jest Michałowa, a to znowu dziesięć sezonów serialu „Ranczo”. Też bardzo długi czas.

MARTA LIPIŃSKA: Haha, nawet dzisiaj oglądałam rano przy porannej kawce odcinek kolejny, bo to zawraca jak koło zamachowe. Bardzo sobie widzowie chwalą, haha. Tutaj też mi się udało chyba prawdziwie zagrać taką osobą, której zresztą nie widziałam nigdy w życiu, nie znałam takiej osoby, a jednak wymyśliłam ją sobie i to się jakoś potem sprawdziło. Bardzo mi się dobrze grało i z Żakiem, i z Barcisiem. To są wspaniali koledzy w pracy. Pan Cezary to w ogóle jest partner na planie genialny, bo on taki jest dowcipny, tak potrafi rozśmieszyć, że czasem się go prosi, „No już, panie Czarku, już, już, proszę, błagam, bo już nie zagram”. I wspaniale zagrał. To dodaje skrzydeł po prostu, jak ich się widzi, jak kolega sady, jak to mówią, to jednak samemu też się chce po prostu iść. No, a ja myślę, że ja trafiłam w coś takiego, że... myślę sobie, dlaczego tak tą Michałową wszyscy pamiętają i lubią – bo strasznie brakuje nam w życiu teraz tak zwanych autorytetów moralnych, a ja, przy pomocy autora scenariusza, stworzyliśmy taką postać, która czasem hurgoli, czasem psioczy, czasem krzyczy zanadto, ale jest sprawiedliwa. I jest ktoś taki bardzo potrzebny w życiu. I nie da krzywdy zrobić komuś słabszemu, komuś biednemu, pomoże, wymyśli sprawiedliwe wyjście z sytuacji, jest oddana, uczciwa, i ma rację. Więc to jest bardzo bliskie wielu ludziom i dlatego tak się podoba.

ANNA KARNA: Próbowałyśmy policzyć pani rolę przed naszą rozmową. Nie udało się, ale wiemy mniej więcej, że to jest przynajmniej około dwustu.

MARTA LIPIŃSKA: Rzeczywiście, jestem kobietą pracującą, haha. Nie leniłam się w życiu, oj nie, napracowałam się. To, wie pani, nawet ochroniarz w moim domu mówił mi, jak ja tak na szóstą rano wychodziłam do samochodu, wsiadałam, żeby jechać na zdjęcia do „Rancza”, które to było kręcone za Mińskiem Mazowieckim, „Oj, pani Marto, pani to jest pracowita. Tu nikt o tej porze nie wychodzi do pracy”, haha. Ja mówię, „No tak, ciemno jeszcze, a ja idę”. „No właśnie, no i ciemno będzie, jak pani będzie wracać”. Ja mówię, „No tak się składa, ale lubię tą pracę, lubię tę rolę”. On mówi, „Oj, ja też”, on mówi, „Ja też, niech pani idzie i niech pani zdrowo wraca”, haha.

ANNA KARNA: Pani Marto, Kochamy panią. Proszę nie myśleć o emeryturze.

MARTA LIPIŃSKA: Haha. Póki zdrowie pozwoli. Czasem myślę sobie, że chciałabym może już odpocząć, już się zajmować tylko jakimiś przyjemnościami, a potem pewnie sobie za chwilę myślę, „Ojej, nie wytrzymam, nie wytrzymam”. Dosyć dużo gram w teatrze jednak, parę przedstawień w miesiącu, ale robię to bez przykrości, bo bardzo Kocham Esmeraldę Quipp.

ANNA KARNA: Zapraszamy wszystkich Państwa na spektakl „Lepiej już było” do Teatru Współczesnego. Bohaterką cyklu „Mistrzowie mówią” była wybitna aktorka, pani Marta Lipińska. Bardzo dziękuję za to spotkanie.

MARTA LIPIŃSKA: I ja dziękuję, i mam nadzieję, że będziemy wysłuchane, haha.

ANNA KARNA: Na pewno.

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: Audycje kulturalne – w dobrym tonie.